

NIEPEWNOŚĆ

Napisał: Andrzej Stoff

Ilustrował: Cyprian Kościelniak

Mam już tego dość! Dyskusje, wiecznie dyskusje, nigdy nie kończące się dyskusje... Jako pilot-astronauta przywykłem do błyskawicznego podejmowania decyzji, nawet ryzykownych. Wielosłowie, jakie opanowało nasz statek, jest dla mnie wręcz nie do zniesienia.

To prawda, że zetknęliśmy się z fenomenem, jakiego nie odnotowała dotychczas pamięć ludzka. Prawdą jest także, że przeżyliśmy coś, czego nie doświadczyła żadna wyprawa kosmiczna od chwili rozpoczęcia przez ludzi lotów poza Ziemię. A jednak ustawiczne roztrząsanie faktów w naszej sytuacji prowadzi donikąd. Przede wszystkim dlatego, że rozpoczęliśmy już lot powrotny, a właściwie – mówiąc szczerze – pozwolono nam odlecieć tam, skąd przybyliśmy. Tymczasem cała załoga zajmuje się wyłącznie tym, co nas spotkało. Termin powrotu ważny jest dla nich jedynie jako ostateczny moment, do którego trzeba uzgodnić wspólne stanowisko i zaproponować Admiralicji jakieś konkretne rozwiązanie. Prowadzenie statku zdano wyłącznie na mnie. Mam więc pełną swobodę i wystarczająco dużo czasu...

Niezwykły był już początek tej przygody, chociaż wtedy nie przypuszczaliśmy nawet, co nas spotka. Zbliżaliśmy się do nieznanego układu planetarnego. Wstępne badania przeprowadzone z dużej odległości sugerowały możliwość istnienia na jednej z planet życia, i to w stadium rozwiniętej cywilizacji naukowo-technicznej. Szczegółowa analiza promieniowania dokonana już podczas przelotu przez układ potwierdziła te przypuszczenia. Załogę ogarnęło wtedy niezwykle ożywienie. Gdy

znaleźliśmy się w odległości równej mniej więcej promieniowi orbity jedyne go księżyca okrążającego tę planetę, aparatura zarejestrowała efekt podobny do odbicia fal radaru o nasz statek. Od tej chwili wiedzieliśmy, że wykryto naszą obecność i że odtąd będziemy stale obserwowani. Wtedy był to dla nas powód do radości, gdyż obecność urządzeń radiolokacyjnych świadczyła o zaawansowanym poziomie technicznym cywilizacji, z którą chcieliśmy nawiązać kontakt. Zgodnie z instrukcją uruchomiliśmy natychmiast nadajnik programu kontaktowego i kontynuowaliśmy lot starając się najdrobniejszym nawet manewrem nie wzbudzić Ich podejrzeń, co do naszych intencji. Lecieliśmy wprost do celu.

Co czuliśmy wtedy? O, to już zupełnie inna sprawa. Każdy myślał o czekającym nas spotkaniu w perspektywie swojej specjalności i swoich prywatnych marzeń i ambicji. Staraliśmy się wyobrazić sobie Ich świat i Ich samych. W podnieceniu, jakie ogarnęło wszystkich, przygotowywaliśmy się do nawiązania bezpośredniego kontaktu. Planeta była coraz bliżej i nim jeszcze tarcie atmosfery rozgrzało podczas manewru lądowania – tak przynajmniej powinno być – ochronną powłokę kadłuba, temperatura psychiczna wewnątrz statku wzrosła do niespotykanego poziomu. A nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że to, co nas czekało, miało być niepodobne do czegokolwiek. Nawet do najbardziej fantastycznych wyobrażeń o spotkaniu Istot Rozumnych we Wszechświecie, jakie miewają autorzy powieści fantastyczno-naukowych.

Po kilkunastu minutach lotu wyszliśmy

z śledzącej wiązki radaru. Niektórzy z nas skłonni byli przypisać to zaufaniu mieszkańców planety do naszych możliwości technicznych i naszych zamiarów, ale jak się wkrótce okazało, właściwym powodem było roztoczenie nad nami o wiele bardziej troskliwej opieki. Po raz pierwszy przekonaliśmy się o jej istnieniu, gdy przelatujący w pobliżu meteor w sposób absolutnie niezgodny z mechaniką lotu, a więc i z prawami fizyki, zmienił raptownie kierunek. Wyglądało to tak, jak gdyby ześliznął się po niewidocznej, niemniej jednak istniejącej przeszkodzie.

Wlot w atmosferę planety spowodował kompletny chaos w procedurze automatycznego lądowania. Teraz mogę myśleć o tym zupełnie spokojnie, ale wtedy... Bez wahania wyłączyłem układ automatyczny i przeszedłem na lądowanie kierowane bezpośrednio. Tego, co się działo z rakieta, nie mogłem zrozumieć. Nikt z załogi nie mógł mi pomóc. Nie było zresztą na to czasu. Lądowanie pozbawione było zwykłych, towarzyszących temu manewrowi efektów. Nie było tarcia o coraz gęstsze przeciwieństwo warstwy atmosfery. Czujniki temperatury powłoki statku wykazywały nadal temperaturę przestrzeni kosmicznej. Lecieliśmy jakby jakimś korytarzem, wytyczonym w niezrozumiały dla nas sposób, z którego usunięto powietrze. Co dziwniejsze, korytarz ten miał zdolność kierowania naszym statkiem niezależnie od pracy silników. W tej sytuacji wyłączyłem nie tylko silniki hamujące, ale i układ sterujący.

Nie rozumiejąc nic z tego, co się działo, bliski już byłem podjęcia decyzji uruchomienia silnika głównego i próby ucieczki na orbitę planetarną. Nakazywały to rozsądek i doświadczenie pilota. Wyjście na orbitę dałoby nam wszystkim czas do namysłu, pozwoliłoby skontrolować urządzenia statku i usunąć ewentualne uszkodzenia, a także podjąć najwłaściwszą decyzję. Rakieta opadająca ku powierzchni nieznanego planety, ale niezdolna do samodzielnych manewrów, skazana jest przecież na zagładę...

Ale coś irracjonalnego, coś, co przeważało moją wiedzę teoretyczną i moje doświadczenie pilota, kazało mi wyłączyć silniki i pozostawić

statek na łasce nieznanymi sił. Nie wiem do dzisiaj, co mogłoby się stać, gdybym dał pełny ciąg i usiłował wyrwać się z korytarza z powrotem w otwartą przestrzeń. Wtedy nie miałem czasu na teoretyczne rozważania, teraz moją uwagę zaprzęta coś zupełnie innego. Czujnie obserwowałem wskazania przyrządów, które mówiły, że lądowanie powinno być bezpieczne, mimo braku współdziałania z naszej strony. To nie my lądowaliśmy, lecz Oni nas sprowadzali na powierzchnię swojej planety. Prędkość lotu zmalała do przewidzianej przez procedurę lądowania w normalnych okolicznościach. Nie było niebezpiecznych drgań kadłuba, ani najmniejszych nawet przechyłów bocznych. Przez kilkadziesiąt sekund poruszaliśmy się prawie poziomo, aż znaleźliśmy się nad miejscem przeznaczonym na nasze lądowisko.

Wszystko odbywało się tak łagodnie, że mogę teraz powiedzieć, iż było to najbardziej precyzyjne i bezpieczne lądowanie w całej mojej karierze astronautycznej, chociaż odbyło się bez mojego udziału. Lądowaliśmy w miejscu, które przypominało zupełnie nasze kosmodromy: bezkresną zieloną płaszczyznę przecinały biegnące w różne strony szare pasy – drogi łączące z rzadka rozsiane place o regularnych kształtach stanowiska startu i lądowania. Wokół niektórych z nich wznosiły się różnej wielkości i odmiennej konstrukcji urządzenia techniczne. Prostymi, wielokilometrycznymi liniami biegły estakady, gdzieś widniały wyloty tunelów, a w oddali majaczyły cylindryczne, lekkie, mimo swego ogromu, budowle spięte ażurowymi, zawisłymi w powietrzu mostami.

Zetknięcia statku z powierzchnią planety nawet nie poczuliśmy. Jak się później okazało, była to zasługa nie tylko Ich precyzyjnej techniki lądowania. Radość z odkrycia obcej cywilizacji mieszała się z niepokojem o nasze losy. Wszystko, co robiliśmy i o czym myśleliśmy przedtem, w zupełnie nowej perspektywie stawała nasza całkowita bezradność. Doskonałość Ich techniki wzbudzała podziw i szacunek, brak bezpośredniej reakcji na nasze przybycie, czy choćby tylko odpowiedzi na nasze bez przerwy transmitowane sygnały kontakto-

we – podsycal niepokój. Kimkolwiek byli mieszkańcy tej planety, musieli odebrać nasze sygnały, które niosły podstawowe informacje o nas, naszej wyprawie, Ziemi, i nawet jeżeli nie potrafili ich rozszyfrować i zrozumieć, w co przy obserwowanym poziomie techniki należało raczej wątpić, powinni potwierdzić ich odbiór w jakikolwiek sposób. Tymczasem nasze odbiorniki milczały, a milczenie to było tak doskonałe, że w najbardziej pustym zakątku Kosmosu, jaki zdarzyło mi się odwiedzić, nie spotkałem się z czymś podobnym.

Tkwiliśmy więc tak, beczynni, czas jakiś i zastanawialiśmy się, co robić. Gdy w Ich postępowaniu wobec nas nie nastąpiły żadne zmiany, to znaczy nadal brak było bezpośrednich przejawów zainteresowania się nami, postanowiliśmy spenetrować najbliższe otoczenie miejsca naszego przymusowego lądowania. I wtedy przeżyliśmy kolejne zaskoczenie. Początkowo planetolodzy przypuszczali, że analizator chemiczny zepsuł się i przekazuje nieprawdziwe dane, ponieważ informował, że na zewnątrz statku panuje absolutna, kosmiczna próżnia. Któż mógł w to uwierzyć, skoro wzrok przekonywał nas o istnieniu w odległości kilku kilometrów budowli i urządzeń wzniesionych przez istoty niewątpliwie podobne do człowieka. Widzieliśmy rośliny, które bez atmosfery nie mogły przecież wyrosnąć. O istnieniu gazowej otoczki planety świadczyło także rozproszenie światła. Horyzont nie pokrywał się tu z zasięgiem wzroku ograniczonym jedynie krzywizną powierzchni i nie przechodził ostro w czerń przestrzeni międzyplanetarnej, jak było to na księżycach planet i innych obiektach zbyt małych, by mogły utrzymać własną atmosferę. Obserwowaliśmy ponadto wszystkie, dobrze znane zjawiska atmosferyczne.

Biolog i Chemik, którzy pierwsi udali się na rekonesans, ubrali się jednak w skafandry i gdy opuścili służę statku, wszyscy przekonali się, że analizator chemiczny nie kłamał. Statek, tkwiąc na powierzchni planety, równocześnie znajdował się nadal w kosmicznej próżni. Nie wykryto najmniejszych choćby ilości gazów. Ale to nie był koniec niespodzianek związanych z tym paradoksem. Zaledwie

nasi wysłannicy zjechali burtową windą do podnóża rakiety, przeżyli kolejny szok. (Dziwi się teraz, po kilku dniach względnie normalnego życia, jak wiele zdolny jest znieść człowiek zachowując przy tym rozsądek i zdolność działania...). A więc, gdy zeszli z platformy windy, stanęli nie na twardej powierzchni obcej planety, lecz na niewidocznej, zaledwie wyczuwalnej, przezroczystej tafli. Zieleń trawy była niżej, dobrze widoczna, gdzieś tam ubarwiona kwiatem – zupełnie jak na Ziemi, a przecież niedostępna.

Śluchając ich wzburzonych głosów, rwącej się co chwila relacji, gorączkowych okrzyków wyrażających bezgraniczne zdumienie, oglądaliśmy na ekranach ten niesamowity widok: nasi towarzysze unosili się nad powierzchnią lądowiska, a przecież coś stawiało opór ich butom, pozwalało stąpać coraz pewniej. Razem z nimi dzieliliśmy zaskoczenie, zdumienie, wreszcie lęk przed nieznanym, który pochwycił nas w swoją władzę.

Szczególnie widok stopięćdziesięciometrowej rakiety utrzymywanej przez niepojętą siłę kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią przyprawiał o dreszcz niewypowiedzianej emocji. W podobnej sytuacji znajduje się rakietka w ułamek sekundy po uruchomieniu silników, ale stan ten poprzedza właściwy impuls startowy, a silniki naszego statku milczały. Jak zauważył Informatyk, byliśmy bez reszty zdani na łaskę bądź nielaskę tych, którzy ową siłą dysponowali, a równocześnie – i kto wie, czy nie było to najgorsze – nie rozumieliśmy nic z tego, co się wokół nas działo.

Tymczasem Biolog i Chemik rozpoczęli wędrówkę po najbliższym otoczeniu rakiety, śledzeni bez przerwy przez zainstalowaną we władze kamerę.

– Ściana?!... – do intonacji znamionującej bezgraniczne zdumienie zdążyliśmy się już przyzwyczaić, toteż okrzyk Chemika przyjęliśmy jako informację o kolejnej niezwykłości. Jak oniemiała patrzyliśmy na ekran, na którym widać było zmagania naszego towarzysza z niewidzialną, tym razem pionową przeszkodą, w odległości kilkadziesiątu zaledwie metrów od rakiety. Napierał na nią całym ciałem,



a kiedy wysilek ten nie przyniósł rezultatu, Chemik cofnął się, nabralł rozpędu i uderzył w przeszkodę.

– Uważaj na skafander! – Okrzyk Lekarza zbiegł się z początkiem relacji podawanej nieco zadyszczonym głosem:

– „To” ustępuje wprawdzie nieco przy odpowiednio silnym nacisku, ale szybko powraca na poprzednie miejsce bez względu na moje wysiłki. Zapora jest więc elastyczna, choć w minimalnym stopniu. Jej funkcjonowanie sprawia wrażenie, jakby w tym wszystkim bardziej chodziło o bezpieczeństwo intruza, niż o nienaruszalność granicy....

W tym czasie Biolog obszedł nasz statek dookoła i kiedy znowu znalazł się przy współtowarzyszu, powiedział:

– „To” otacza nas szczelnym pierścieniem w promieniu około osiemdziesięciu metrów. Nie rozumiem zupełnie, na jakiej zasadzie „to” działa, ale chyba znaleźliśmy się w pułapce.

Narada zwołana po powrocie zwiadowców zakończyła się podjęciem decyzji rozpoczęcia badań planety przy pomocy wszystkich dających się zastosować w tej nietypowej sytuacji środków. Zasadniczym zadaniem było jednak nawiązanie kontaktu z obcą cywilizacją. Rozpoczęto uruchamianie aparatury naukowej, a specjalny zespół zajął się przygotowaniem raportu dla Ziemi, który miał być wysłany natychmiast. Nie mogliśmy wprawdzie liczyć na pomoc – zbyt wielka odległość dzieliła nas od najbliższej bazy, ale wiadomość o naszej sytuacji, bez względu na nasz los, mogła oka-

zać się ważna dla przyszłych ekspedycji. Zainteresowania Admiralicji kierowały się coraz wyraźniej ku temu rejonowi Galaktyki i nie ulegało wątpliwości, że po nas w okolicach tej planety pojawią się w najbliższych latach nowe wyprawy. Ze wszech miar byłoby lepiej, gdyby wiedziały, co je czeka i z czym muszą się liczyć. Choć nie byliśmy pewni, czy sygnały niosące nasz raport przedostaną się w ogóle przez otaczającą nas barierę – nie znaleźliśmy jej natury – postanowiliśmy spróbować.

Prowadzona bezustannie od chwili wylądowania obserwacja nie przyniosła rezultatów, które pozwoliłyby chociaż częściowo zrozumieć naszą sytuację. A cóż dopiero mówić o cywilizacji, która postąpiła z nami w tak nieoczekiwany sposób. Dopiero po kilku godzinach od chwili lądowania, gdy niebo zaczęło zmieniać kolory i ciemnieć zwiastując zbliżanie się nocy (nie znaleźliśmy jeszcze wtedy parametrów orbity planety i danych o jej ruchu obrotowym) przeleciały nad nami dwa bezskrzydłe pojazdy, ale na tak znacznej wysokości, że najlepsze teleobiektywy nie były w stanie przybliżyć nam szczegółów ich konstrukcji. Jeszcze później latający obiekt podobny do tych, które obserwowaliśmy poprzednio, zawisł nad nami na wysokości trzech tysięcy metrów i pozostał tam przez cały czas pobytu na planecie. Muszę przyznać, że czuliśmy się trochę nieswojo z takim stałym „opiekunem” nad sobą. Najbardziej energiczni i niecierpliwi z nas proponowali nawet użycie pokładowych środków obrony dla unieszkodliwienia go, ale zaciętrzewienie trwało krótko i musiało ustąpić trzeźwej ocenie sytuacji. A z oceny tej

wynikało, że niszczycielska moc naszych urządzeń atomowych jest niczym wobec wypróbowanej przez Nich na nas ich techniki i że z góry skazani jesteśmy na przegraną.

Tymczasem Fizykowi udało się ustalić kształt pęcherza próżni, w jakim nas uwięziono. Otaczał on raketę kropelowym kształtem, który w najszerszym miejscu, nieco ponad podstawą miał prawie dwieście metrów średnicy i zbiegał się stożkowo siedemdziesiąt metrów ponad sterującym teraz bezradnie w niebo dziobem rakiety. Fizycznej natury przegrody oddzielającej nas od Ich świata nadal nie udawało się określić, wiadomo było tylko, że jest to, w niewiadomy dla nas sposób uformowane pole promieniowania. Wyniki pomiarów wszystkich odmian szkodliwego dla organizmu promieniowania były jednak uspokajające. Pod tym przynajmniej względem był to jeden z najbezpieczniejszych zakątków Kosmosu.

Zapadła noc. Wszyscy byli potwornie zmęczeni i wyczerpani psychicznie napięciem towarzyszącym nowej sytuacji. Po ustaleniu dyżurów poszliśmy więc spać. Swoją dyżur miałem objąć po Informatyku. Kiedy ten zdołał mnie wreszcie obudzić, nie poszedł spać, lecz pozostał ze mną. Wyraźnie szukał towarzysztwa.

Na zewnątrz nic się nie działo. Nocny krajobraz trwał w bezruchu i w absolutnej ciemności. W stronie, gdzie za dnia widzieliśmy coś, co układem przypominało nasze ziemskie miasta, także panowała ciemność. Tylko na zachodzie niebo było nieco jaśniejsze.

Informatyk zaparzył herbatę i tak, popijając gorzkawy płyn, tkwiliśmy przed ekranami, na których uparcie nic nie chciało się dziać. Po godzinie zjawił się Fizyk, a po nim kolejno inni członkowie załogi, bez względu na kolejność przypadających dyżurów. Widocznie gdy tylko sen zlikwidował skutki zmęczenia, powracało napięcie spowodowane niezwykłością sytuacji, wystraszając uwagę i zmuszając do aktywności. Kto z racji swej specjalności pozbawiony był w tej chwili zajęcia wynajdował jakieś inne, zastępcze.

Pierwszą sensację tego dnia zakomunikował nam Fizyk. Po wywołaniu filmów z wynikami obserwacji zauważył niezwykle efektowny

szący polu, które odcinało nas od naturalnego środowiska planety. W podczerwieni otaczający nas kokon jaśniał delikatną poświatą. Wyglądało to tak, jak gdyby na granicy Ich świata i naszej enklawy produkowane było przez cały czas, równomiernie, chociaż w niewielkich ilościach, ciepło. Nieco później udało się zlokalizować na zdjęciach otoczenia rakiety sześć symetrycznie rozmieszczonych kopuł, w których prawdopodobnie znajdowały się urządzenia – jakieś promienniki, czy coś w tym rodzaju – odpowiedzialne za stabilizację pola izolującego raketę. Hipoteza ta do końca naszego pobytu na planecie nie została potwierdzona, gdyż nie udało się wykryć ani śladów emisji promieniowania, ani w ogóle jakichkolwiek oznak działalności z tym związanej.

Ponieważ noc na tej planecie była o połowę dłuższa w stosunku do cyklu dobowego obowiązującego na statku na wzór Ziemi, do świtu pozostało jeszcze kilka godzin, gdy cała załoga była już na swoich stanowiskach. Wraz z brzością raketę opuścił pierwszy zespół badawczy. Fizyk i jego współpracownicy usiłowali przy pomocy zainstalowanej na zewnątrz aparatury zbadać charakter wiążącego nas pola. Ktoś proponował, by zaryzykować próbę przebicia się przez barierę automatycznie kierowanym promem, bądź wozem terenowym przystosowanym do pracy w najmniej sprzyjających warunkach. Być może doszłoby do realizacji tego ryzykownego pomysłu, gdyby nagle nie zelektryzował wszystkich okrzyk obserwatora.

– Sektor 18: obce pojazdy! To Oni!

Znajdujący się na zewnątrz rakiety zamarli w napiętym oczekiwaniu. Panczerz rakiety dawał mimo wszystko złudzenie bezpieczeństwa. Pozostali członkowie załogi skupili się przed ekranami. Dwa pojazdy, działające prawdopodobnie na zasadzie naszych poduszkowców (chyba że mieszkańcy planety, sądząc po przygotowanej dla nas pułapce, zdołali już opanować grawitację), mknęły szybko w naszym kierunku. Najpierw zwolnił jeden z nich i w odległości prawie kilometra od rakiety rozpoczął ruch okrężny. Później wytracił prędkość drugi pojazd, który zaczął krążyć



wokół nas w odległości stu metrów od granicy pola siłowego. Wyglądało to na działanie patrolu rozpoznawczego, oczywiście z perspektywy naszych, ziemskich doświadczeń: pojazd znajdujący się dalej ubezpieczał bliższy, który wykonywał właściwe zadanie zwiadowcze. Z nadzieją śledziliśmy ruch maszyn. Byli to przecież Oni, nareszcie Oni, mieszkańcy tej zagadkowej planety. Bezpośredni kontakt wydawał się bliski. W bliższym pojeździe można było odróżnić trzy sylwetki. Pamiętam, że siedzący koło mnie Planetolog wyszeptał wtedy z bezbrzeżnym zdziwieniem:

– Jacy podobni do nas...

Różniliśmy się jednak od nich kilkoma szczegółami, chociaż, jak ustaliliśmy później, ogólny układ anatomiczny i dynamiczne zasady funkcjonowania organizmu były bardzo podobne. Ktoś najbardziej z nas przytomny włączył wizualny sygnalizator programu kontaktowego. Czekaliśmy niecierpliwie na Ich reakcję, ale ta nie następowała. Pojazdy zatoczyły jeden krąg, drugi, czwarty, siódmy, dziesiąty... Później przestaliśmy już liczyć. I nic. Najmniejszego gestu z Ich strony, ani śladu chęci zawarcia z nami bliższej znajomości. Komandor zaniepokojony sytuacją wydał wszystkim pozostającym na zewnątrz rakiety rozkaz powrotu.

Kiedy znaleźliśmy się znowu wszyscy razem, pojazdy zatrzymały się i po kilku minutach, przyspieszając raptownie, oddaliły się w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybyły. I znowu dokoła zapanował bezruch i martwota. Obserwator zanotował jedynie przelot trzech maszyn, ale w tak dużej od nas odległości, że nie mieliśmy prawa wiązać ich pojawienia się z naszą obecnością. Były to przypuszczalnie tutejsze regularne loty komunikacyjne.

Wtedy to właśnie Historyk, po gwałtownej dyskusji, w której spotkało się więcej propozycji, niż było członków załogi, sformułował pierwszą hipotezę usiłującą wytłumaczyć obserwowany stan rzeczy.

Historia ziemskiej cywilizacji dostarcza bardzo wiele przykładów społeczeństw zamkniętych, izolujących się przed wpływami z zewnątrz, uznających własną organizację i włas-

ną ideologię za jedynie słuszne. W takich wypadkach zawsze dochodziło w przeszłości do utożsamienia odmienności kulturowej z wrogością, bądź tak lub inaczej pojmowaną – niższością. Napotkana przed nas obcoplannarna cywilizacja postępowała widać w kontaktach z obcymi podobnie, jak tamte społeczności ziemskie. To znaczy usiłowała nie dopuścić do bliższego porozumienia własnych członków z przybyszami, udaremniała wszelki przepływ informacji, a w realizacji swych celów mogła nie przebierać w środkach. Powinniśmy się więc mieć na baczności. Wniosek z tej pesymistycznej diagnozy był taki: zmniejszyć ryzyko wiążące się z dłuższym pobytem na planecie i jak najszybciej wystartować. Tym bardziej należało unikać wszelkich radykalnych środków nawiązania kontaktu, gdyż mogłyby one zostać potraktowane jako zamach na niezawisłość tej cywilizacji, jako mieszanie się do jej wewnętrznych interesów.

Na taką ocenę sytuacji najszybciej zareagował Socjolog. Zarzucił on Historykowi, że jako reprezentant nauki z natury rzeczy zajmującej się faktami jednostkowymi popełnia błąd przenosząc doświadczenia ziemskiej cywilizacji na inne cywilizacje kosmiczne. Błąd ten polega na tym, że autor hipotezy „świadomej izolacji” zakłada milcząco, iż rozwój tej oto obcoplannarnej cywilizacji szedł taką samą drogą, jaką przebyła Ziemia, że stworzył on i przewycięził formy ustrojowe te same, które powstały na naszej planecie. Jest to niedopuszczalne uproszczenie. Prędzej już wytłumaczenia sytuacji, w jaką zostaliśmy wciągnięci, szukać należy w podobnej do naszej konstytucji psychofizycznej istot zamieszkujących planetę. W każdej dziedzinie życia to, co nowe, zawsze powoli i z trudnością toruje sobie drogę do powszechnej świadomości. Tak było zawsze na Ziemi. Być może jest to prawo uniwersalne. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że cywilizacja, jaką napotkaliśmy na swojej drodze, dysponując odpowiednimi środkami technicznymi, zabezpieczyła się przed żywiołowym kontaktem z „nowym”. Być może jest to środek tymczasowy i dłuższe obserwowanie nas doprowadzi Ich do wniosku, że bezpośredni kontakt nie stanowi żadnego zagrożenia, że przeciwnie,

mogą na nim jedynie zyskać. Jest prawdopodobne, że cywilizacja, w obliczu której się znaleźliśmy, wypracowała w toku długiego, zapewne dłuższego niż nasz, rozwoju, drogą licznych prób, nie wolnych od błędów, wyrzeczeń i wysokich kosztów materialnych, ustabilizowaną formę współżycia między ludźmi. Znając cenę tego osiągnięcia zdecydowani są bronić go przed wszelkimi zakłóceniami. A czyż niespodziewana wizyta przedstawicieli innej cywilizacji kosmicznej nie jest potencjalnym zakłóceniem o trudnych do przewidzenia konsekwencjach? Stąd właśnie ta pieczołowita ochrona społeczeństwa przed intruzem z zewnątrz.

Socjolog był zdania – a była to najbardziej przekonująca część jego hipotezy – że specjalne służby działające z polecenia najwyższych władz ściągnęły nasz statek w miejsce najbardziej odpowiednie dla Nich. Wskazuje na to pustka wokół lądowiska, jeżeli nie liczyć zwiadowców i stałego strażnika czy obserwatora zawieszono nad nami. W przeciwnym razie, bez względu na stosunek zarówno władz, jak i zwykłych obywateli do przybyszów z Kosmosu, pojawiliby się tu niechybnie ciekawscy, zwykli gapie, jacy towarzyszą wszystkim choć trochę niecodziennym wydarzeniom, lub choćby przypadkowi przechodnie czy podróżni. Doskonałość izolacji świadczy o tym, że przechodzimy okres intensywnej obserwacji. Jej wynik zadecyduje o podjęciu z nami rozmów lub ...

Nie chciał sprecyzować drugiej możliwości zastania się nieznajomością realiów tej planety, ale już dyskutanci, przekrzykując się nawzajem, kończyli na różne sposoby ostatnie zdanie Socjologa. Ten zdążył tylko jeszcze w momencie względnego spokoju powiedzieć, że wierzy w to, iż przetrwać i osiągnąć wysoki stopień rozwoju może jedynie cywilizacja z gruntu dobra, a nie, jak to starał się udowodnić Historyk, totalitarna. Proponował ostatecznie narzuconą przez Nich izolację traktować wyłącznie jako przejaw troski o dobro własnego społeczeństwa i spokojnie czekać na pierwszy krok z ich strony.

Na dyskusjach, tych oficjalnych, które miały wypracować dalszy program działania,

i prywatnych, toczących się to tu, to tam, minął nam cały dzień. W okolicy panował niczym nie zakłócony spokój. Unieruchomieni, zdezorientowani, przygotowaliśmy się do spędzenia drugiej już nocy na powierzchni planety.

Podczas mojego dyżuru do kabiny nawigacyjnej zajrzał Komandor. Jak się okazało, powodem nie była bezsenność.

– Czy w chwili obecnej istnieje możliwość startu i bezpiecznego wejścia na orbitę?

Głośno sformułowane padło pytanie, nad którym zastanawiałem się od chwili ściągnięcia nas na planetę. I nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Powiedziałem o tym Komandorowi. Zbyt wiele było niewiadomych, a ja nie wiedziałem więcej ponad to, co wiedzieli inni uczestnicy wyprawy. Wszyscy razem natomiast wiedzieli tyle, co nic. Rozumiałem jednak dobrze motywy tego pytania. Komandor musiał myśleć o zapewnieniu bezpiecznego odwrotu, nawet jeżeli nie zdradzał się z tą myślą przed współpracownikami. Każdy z nas odpowiedzialny był za swoje cząstkowe zadanie. On odpowiedzialny był za bezpieczeństwo wszystkich.

Rozważaliśmy szanse. Można było oczywiście włączyć silniki – za ich sprawność jeszcze odpowiadałem. Za to, co mogło nastąpić potem, już nie. Zależało to od otaczającego nas pola siłowego. Roztrzaskając to doszedłem do ciekawego problemu teoretycznego. Gdyby startującej rakiecie nie udało się przebić otaczającej nas zatory, gazy tryskające z dysz silnika, rozgrzane do olbrzymiej temperatury, w ułamku sekundy wypełniłyby niewielką objętość próżni, w którą Oni zapakowali naszą rakietę. Wzrost ciśnienia w następnych ułamkach sekundy spowodowałby dalszy wzrost temperatury i tak dalej... Jak długo wytrzymałaby to piekło konstrukcja rakiety? Czy wystarczająco długo, by dać mi, jako pilotowi, czas na odpowiednią reakcję, na wyłączenie silników? A co stanie się w przeciwnym razie? Czy nad planetą zajaśnieje na kilkanaście sekund drugie słońce, tym razem razem atomowe, gdy ciśnienie i temperatura zniszczą osłony reaktora?

(Dokończenie w następnym numerze)

Niepewność

Napisał: Andrzej Stoff

Ilustrował: Cyprjan Kościelniak

(Dokończenie)

Świt przyniósł kolejne zaskoczenie. Jeszcze nie zrobiło się zupełnie jasno, gdy od strony „miasta” nadleciały trzy wielkie poduszki, z których wysypało się kilkuset mieszkańców planety. Byli w różnym wieku, niekiedy samotni, niekiedy tworzyli grupy, które, odwołując się do ziemskich wzorów, można byłoby nazwać rodzinami. Podzieleni na kilkudziesięcioosobowe zespoły prowadzone przez przewodników w wyróżniających się uniformach, krążyli wokół statku tuż za granicą pola siłowego. Przystawali, celowali w nas jakimiś aparatami; prawdopodobnie utrwalali widok niezwykle przybyśza z Kosmosu.

Potem pojawiło się jeszcze kilka poduszkowców. W pobliżu rakiety zrobiło się tłoczno. Zaszokowani niezwykłością sytuacji, tym nagłym zaludnieniem pustego dotąd miejsca, które podważało wszystkie dotychczasowe interpretacje, nie wiedzieliśmy początkowo, jak zareagować. Czy wyjść ze statku i usiłować porozumieć się bezpośrednio, przede wszystkim jednak po to, by pokazać im, jak wyglądamy i że jesteśmy do nich podobni, czy też nadal próbować nawiązać łączność przy pomocy środków technicznych. Ponieważ jednak wszystkie dotychczasowe próby nawiązania łączności zawiodły i jedyną odpowiedzią na nasz program kontaktowy była cisza, wszyscy skłaniali się do podjęcia ryzyka kontaktu bezpośredniego. Może podświadomie większość z nas przypuszczała, że wzajemne podobieństwo wyrwie w końcu pożądaną skutek.

Jednak w otaczającym naszą raketę pęcherzu próżni mogliśmy się poruszać jedynie w deformujących nasz wygląd skafandrach. Po analizie zapasów powietrza i sprawności układu regeneracyjnego Komandor nakazał wypełnić próżnię powietrzem z zapasów rakiety. Trwało to zaledwie kilka minut. Ponieważ ciśnienie od razu ustaliło się na potrzebnym poziomie i nie zanotowano ucieczki powietrza na zewnątrz, wkrótce część załogi ubrana jedynie w pokładowe uniformy stanęła naprzeciw Nich.

Przez chwilę tym, którzy pozostali na statku i mogli obserwować sytuację z pewnego dystansu, wydawało się, że wyjście ludzi z rakiety wywołało pewne poruszenie wśród „turyistów”. Ale było to widocznie bardziej nasze życzenie, niż rozpoznanie stanu rzeczywistego, gdyż zachowanie tubylców nie zmieniło się ani na jotę. Na widok zbliżających się do pola siłowego astronautów może tylko częściej niż przedtem podnosili swoje aparaty. Niektórzy wykonali gesty, które przy najlepszych chęciach z naszej strony mogły być uznane za coś w rodzaju pozdrowienia. Jeżeli ktokolwiek marzył o wywołaniu sensacji, radykalnej zmianie sytuacji czy choćby tylko żywszej reakcji – srodze się zawiódł.

Tymczasem „wycieczek” przybywało. W sąsiedztwie lądowały śmigłowe aparaty przywożąc kilkuset nowych mieszkańców planety. Sytuacja stawała się dla nas nie do zniesienia.

– Gdyby nie ta przerażająca obojętność na naszą obecność – Lekarz kiwał bezradnie głową – można byłoby pomyśleć, że odizolowanie nas od tubylców, czy jak kto woli Ich od nas, spowodowane jest wyłącznie względami medycznymi, że jest to rodzaj kwarantanny. Taka chęć zapobieżenia zakłóceniu równowagi biologicznej planety i przeniesieniu ewentualnych chorób byłaby najzupełniej zrozumiała. Przecież i my stosujemy podobne środki, i to wobec własnych załóg powracających na Ziemię z dalszych wypraw, a szczególnie z innych planet.

– To już trzecia hipoteza, doktorze – wtrącił ktoś – ale zdaje się, że równie bezużyteczna dla zrozumienia sytuacji, w jakiej tkwimy, jak poprzednie.

– Zastanawia mnie przede wszystkim powód tej obojętności – kontynuował Lekarz. – Przecież my, nawet gdy zwiedzamy parki osobliwości, rezerwy czy muzea, zachowujemy się inaczej, reagujemy żywiej. Cóż dopiero działałoby się na Ziemi, gdyby nieoczekiwanie wyłączyła na niej wyprawa reprezentująca cywilizację odległą od Słońca o kilkadziesiąt lat świetlnych... Wykluczając tezę, że są to pozabawione programu emocjonalnego cybernetyczne humanoidy, boję się wprost myśleć o tym, jak surowy trening woli i uczuć musieli by przejść ludzie zdolni do takiego zachowania...

Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć. Szok spowodowany tak licznymi tego dnia odwiedzinami połączony z krańcową emocjonalną obojętnością powoli ustępował. Do statku powrócili nasi wysłannicy. Czuli się fatalnie. Poprzestaliśmy na kontroli i rejestracji obrazu otoczenia. „Turyści” zachowywali się nadal tak samo. Część z nich odleciała, ale na ich miejsce przybywali nowi.

Wtedy właśnie ze swojej pracowni wyszedł nie wiedzący jeszcze o tym, co się stało, Informatyk. Rozgorączkowany machał notatkami, które, jak się okazało, zawierały rezultaty obliczeń, dla których przez kilkanaście godzin angażował prawie całą moc pokładowego komputera i wszystkie segmenty pamięci zewnętrznej, które składały się na swego rodzaju podręczną bibliotekę wyprawy. Jego odkrycie

zelektryzowało wszystkich. Rezultat obliczeń nie tłumaczył naszej sytuacji, określał jedynie warunki, w jakich mogłaby się ona stać zrozumiałą. Wszyscy zjawili się, by go wysłuchać.

– Dotychczas domagano się od komputera odpowiedzi natury technicznej, fizycznej, bądź wręcz emocjonalnej, a takich odpowiedzi udzielić on nie mógł bądź to z powodu niedostatecznych danych, bądź też z tej racji, że nie leży ona w kompetencji maszyn matematycznych. Ponieważ nie mamy szans, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości, na uzyskanie potrzebnych informacji, sformułowałem pytanie o charakterze niekonkretnym, rzeczowym, lecz metodologicznym. Pytałem więc nie o to, jaka jest cywilizacja, którą napotkaliśmy na swej drodze, ani jaki charakter ma otaczające nas pole siłowe, lecz wyłącznie o ilość informacji potrzebną do opisania niewiadomych, które nas interesują. Otóż na podstawie porównania z sytuacjami, jakich rozwiązania są nam dobrze znane, komputer obliczył, że stworzenie czegoś takiego jak to, co więzi nas na planecie, potrzebny jest zasób informacji o materii, grawitacji i przemianach energii o kilka rzędów większy od tego, jakim dysponuje dziś nasza cywilizacja. Jest to może smutna prawda, ale prawda. I jedynie obiektywna informacja o napotkanej przez nas cywilizacji. Wszystko inne to drobiazgi, bez znaczenia w tej chwili...

Odczekał chwilę, aż ucichnie szmer.

– W tej sytuacji brak zainteresowania nami z Ich strony jest dla mnie zupełnie zrozumiałym. Niechętnie przebywamy przecież z ludźmi, którzy mają nam do zaoferowania wyłącznie prawdy banalne, aż za dobrze znane... Nasze dwie cywilizacje dzieli tak wielka przepaść informacyjna, na naszą oczywiście niekorzyść, że postanowili w ogóle nie zwracać sobie nami głowy. Nie możemy im powiedzieć nic ciekawego, absolutnie nic, gdyż reprezentujemy poziom, który oni osiągnęli wiele wieków temu.

– A dzisiejsze wizyty? – pytania Biologa zaskoczyło Informatyka, który przecież przez wiele godzin nie wyjrzał z pomieszczeń ośrodka obliczeniowego.

Ktoś inny wtrącił:

– Rozumowanie to jest nawet przekonujące i ma realne uzasadnienie, czego brakowało wszystkim dotychczasowym hipotezom. Ale po co w takim razie ściągali nas na powierzchnię swojej planety? Tyle trudu w stosunku do czegoś, co nie ma najmniejszego znaczenia? Przecież mogli nie dopuścić do lądowania w bardziej radykalny sposób, oszczędzając sobie kłopotu. Kiedy ktoś ma do dyspozycji takie środki techniczne...

– Kto wie, czy nie w charakterze obiektu muzealnego, na życzenie ich historyków. Może to właśnie oni podziwiali nas dzisiaj, wraz z rodzinami, żeby było weselej. To przecież nie lada gratka, gdy nieoczekiwanie pojawia się żywy obraz stadium rozwoju ich cywilizacji sprzed wieków czy nawet tysięcy. Wyobrażacie sobie naszych historyków, którym dano by szansę kontaktu z reprezentantami, na przykład, armii Aleksandra Wielkiego!

Ten ostatni pomysł rozładował w śmiechu napięcie towarzyszące dyskusji.

– Ale w takiej sytuacji mogliby skorzystać kontaktując się z nami bezpośrednio...

– Tego nie potrafię wytłumaczyć. Nie należy to zresztą do mnie.

Dalszą wymianę zdań ucięło pytanie Astromona:

– Co będzie z nami, gdy skończy się, jeżeli oczywiście przyjmemy podaną tu hipotezę za słuszną, nasza rola eksponatów w muzeum Ich przeszłości?

Na ten temat nikt nie zabrał głosu.

To był koszmarny dzień. Po wydarzeniach, które go zapoczątkowały, nikt już nie wrócił do normalnych zajęć. Zalał się regulaminowy porządek dnia, co nie zdarzało się nigdy w czasie lotu, nawet w chwilach największych napięć. Kto miał jakiś pomysł i chęci, robił coś na własną rękę. Niektórzy członkowie załogi znikali w swoich pomieszczeniach wybierając samotność. Przede wszystkim jednak dyskutowano. Każda istotniejsza informacja tonęła w wielostowiu. Odcięci od Tamtego Świata polem siłowym, które stanowiło granicę nie do przebycia (dla nas, ale czy również dla Nich?), zasłonięci przed Ich wzrokiem grubym pancierzem rakiety (a może doskonale orientowali się, jak wygląda nasza sytuacja, znali każde

słowo wypowiedziane na ich temat?) – a jednak czuliśmy się jak nadzy, mieliśmy wrażenie, że towarzyszy nam ich ciekawy, przenikliwy wzrok. Będąc u siebie czuliśmy się skrupowani. Wszyscy stawali się coraz bardziej nerwowi. Przejawem tego stanu były coraz częściej wybuchające kłótnie.

Przed zapadnięciem zmierzchu ostatni „turyści” odlecieli i zostaliśmy znowu sami na kosmodromie. Nie oznaczało to jednak zmiany naszej sytuacji. Większość z nas myślała już o niespodziankach dnia następnego, bo tego, że wydarzy się coś nieoczekiwanego, byliśmy więcej niż pewni.

Było już bardzo późno, gdy zebraliśmy się wszyscy na polecenie Komandora. Do najlepszych tradycji wypraw załogowych należy zbiorowe podejmowanie ważnych decyzji, z wyjątkiem sytuacji zagrożenia, kiedy pełnia władzy bez obowiązku konsultacji spoczywa w rękach Komandora. Czasami bywa to jednak tradycja uciążliwa, gdy spotkają się ze sobą jednostki ambitne dążące do przeforsowania za wszelką cenę własnego zdania. O tym, jak trudno jest osiągnąć jedność w wszystkim, co dotyczy poznania Kosmosu, wiedzą dobrze wszyscy, którzy choć raz brali udział w wyprawie badawczej. Wszystko, co nie dotyczy podstawowych spraw technicznych, które pozostawia się najczęściej Pilotowi, jest przedmiotem interpretacji, ścierania się różnych stanowisk, nie kończących się dyskusji. Tym razem jedność poglądów w sprawie zasadniczej narzuciła sytuacja. Wszyscy byli zdania, że istniejącego stanu rzeczy nie można dłużej tolerować i że skoro zawiodły wszystkie nasze wysiłki zmierzające do nawiązania kontaktu, należy dążyć do radykalnych rozstrzygnięć. To znaczy wystarciać.

Spór rozgorzał dopiero wtedy, gdy zajęto się dalszymi losami wyprawy. Nie zrealizowaliśmy wprawdzie wszystkich wyznaczonych na ten lot zadań, ale to, co się wydarzyło, dostatecznie uzasadniało natychmiastowy powrót do Bazy. Niektórzy proponowali jednak, by pozostać przez czas jakiś na orbicie i usiłować dowiedzieć się czegoś więcej o niegościnniej cywilizacji, inni wspominali o możliwości zba-



dania innych planet tego układu, jeszcze inni proponowali cele zastępcze, leżące w tym samym rejonie Kosmosu. Większość była zdania, że przy naszym wyposażeniu technicznym i poziomie wiedzy jesteśmy do tego stopnia bezradni, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest natychmiastowy powrót.

Po długiej debacie zwolennicy natychmiastowego powrotu przeforsowali swój pogląd, chociaż przypuszczam, że poszło im to tym łatwiej, że część oponentów obstawała przy swoim tylko dla zasady, a właściwie dla ocalenia resztek honoru, mocno nadszarpniętego przez ignorującego nas przeciwnika.

Nie zabierałem głosu w dyskusji, analizując w myślach racje poszczególnych stron, ale w momencie, gdy większość zebranych zgodziła się na radykalne rozwiązanie sytuacji, oczy wszystkich zaczęły coraz częściej zwracać się ku mnie. No tak, byłem przecież pilotem i o możliwości, bądź niemożliwości startu decydowałem ja. Nie padło ani jedno pytanie dotyczące bezpośrednio tej sprawy, ale wyczuwałem, że wszyscy myślą właśnie o tym. Przedstawiłem najkrócej, jak tylko można, swoją ocenę sytuacji. Mówiłem o niebezpieczeństwach, o niewiadomych uniemożliwiających sensowne planowanie czegokolwiek, przedstawiłem, co stać się może, gdy pole siłowe nie przepuści rakiety. Nie ukrywałem niczego. Zresztą jakież byłby sens takiego postępowania. Wszyscy mieliśmy idealnie równe szanse, tylko że na mnie spoczywała w tej chwili największa odpowiedzialność i z nikim nie mogłem jej dzielić. Przedstawiłem najbezpieczniejszy, moim zdaniem, wariant startu. Wszyscy, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia, zgodzili się z nim natychmiast. Widać było, że przystaliby na każde rozwiązanie zaproponowane w tonie spokojnym, ale stanowczym. Przywracało to poczucie bezpieczeństwa i – o czym pomyślałem nie bez gorczy – uwalniało od osobistej odpowiedzialności.

Termin startu wyznaczono na rano. Od tej chwili działania poszczególnych członków nabrały sensu. Mimo nadal ciężkiej wszystkim niepewności zwyciężyło poczucie celowości podjętych przedsięwzięć. Przygotowania do drogi powrotnej nabrały tempa. Były one ła-

twiejsze niż zazwyczaj, ponieważ nie trzeba było ściągać do rakiety i ładować sprzętu ani segregować materiału badawczego przeznaczonego do zabrania.

Podział czynności w takich sytuacjach przewidywał dla mnie kontrolę układu napędowego i systemów sterujących. Zabrało mi to sporo czasu, ale chciałem być absolutnie pewien, że przynajmniej z tej strony nie grozi mi żadna niespodzianka. Była już noc, kiedy, siedząc samotnie w kabinie sterowniczej, obmyślałem ostatnie szczegóły jutrzejszego startu. Zdawałem sobie sprawę, że działania powinny być najprostsze z możliwych, bowiem szczegółowe przewidywania zamierzające uprzedzić konkretną sytuację, przy tej ilości niewiadomych, z jaką miałem do czynienia, nie miały najmniejszego sensu. Pierwotnie zamierzałem doczekać momentu startu, ale zmęczenie zwyciężyło i poszedłem spać tuż przed świtem.

Ze snu wytrąciło mnie coraz silniejsze potrząsanie za ramię. Nade mną stał Komandor ubrany już w skafander używany podczas niebezpiecznych manewrów. Nim jeszcze usłyszałem, co mówi do mnie, zrozumiałem, że nadszedł czas nieodwołalnej próby.

Zwyczajna procedura przygotowania startu, ostatnie sprawdziany poszczególnych układów, sygnał gotowości dla załogi, a potem już tylko sekundy wyczekiwania przed najważniejszym, decydującym gestem...

Nawet taki krótki wypoczynek przydał się. Nie byłem psychicznie wymęczony oczekiwaniem, myślałem trzeźwo i szybko. Dobrze wiedziałem, co mam robić. Na pewno byliśmy stale obserwowani przez Nich. Należało więc zasygnalizować chęć startu uruchomieniem silników tak, by ich ciąg był jeszcze zbyt słaby dla poderwania rakiety, a równocześnie nie budzący wątpliwości, co do naszych zamiarów.

Zespół startowy był raczej niezwykły. Obok mnie siedział Komandor zajmując fotel niepotrzebny w tej chwili Nawigatora. W trzecim fotelu usadowił się Fizyk obserwując specjalnie przygotowaną aparaturę do rejestracji danych o polu siłowym. Oczywiście, przy prędkości rozwijanej przez raketę i wielkości „pęcherza”, w którym byliśmy uwięzieni, nie

miało to większego znaczenia, poza zaspokojeniem czysto naukowej ciekawości. Na ekranach pokazujących otoczenie rakiety – pusto, może zbyt wcześnie, by pojawili się „turyści”, a może Oni wykonywali na dzisiaj nową niespodziankę. W tej chwili nie miało to już znaczenia...

Ostatek optymizmu podsycił jednak nadzieję, że w razie gdyby zaporą nie ustąpiła, zdąży wyłączyć silniki w czasie dostatecznie krótkim, by gromadzące się gazy nie zdążyły zniszczyć rakiety. O wypadku, gdyby się to nie udało, starałem się nie myśleć, chociaż wyobraźnia podpowiadała piekielne obrazy powstałe z nałożenia się moich teoretycznych przewidywań i zapamiętanych widoków dwóch katastrof, jakich przed laty byłem świadkiem.

– Gotowi?

Zamiast odpowiedzi bezgłośnie kiwnięcie głową.

Ten moment przeżywałem później wielokrotnie: śnił mi się po nocach, powracał podczas każdego uruchamiania silników. Dźwignie lekko do siebie... Kamery pokazują migotanie ognia u wylotu dysz. Stop! Ciało pokrył pot, jest jakby zdematerializowane, bardziej odczuwam obecność urządzeń rakiety. Tylko nerwy, nerwy napięte do granic możliwości. Czas rozmywa się w niewymierne trwanie... Trzeba podjąć decyzję, nie można dłużej zwlekać...

Wtedy oczy miałem zamknięte. Nie dlatego, żebym nie chciał widzieć tego, co się stanie, ani ze strachu, ani nawet dlatego, że rozkład przyrządów znałem na pamięć. Po prostu dla większej koncentracji. Postawiłem wszystko na instykt pilota, który ratował mnie już niejednokrotnie z opresji. Droga od wskaźników przyrządów pomiarowych do mózgu i od decyzji do wcielenia jej w bieg spraw była w tej sytuacji stanowczo zbyt długa, bym miał się nią posługiwać.

Dźwignia do siebie! Tym razem mocno, od razu na pełny ciąg startowy. Czas przestaje istnieć. Jest tylko potwornie spiętrzone napięcie i oczekiwanie...

Ale nie dzieje się nic nieprzewidzianego i organizm, pozbawiony bodźców, których się

lękał, powoli wychodzi ze stresu... Mam wrażenie, jakbym wynurzał się po bardzo głębokim nurkowaniu z resztką powietrza w płucach. Kiedy otworzyłem oczy, upłynęło zaledwie siedem sekund od włączenia silników. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, był ekran przelicznika nawigacyjnego, na którym punkt oznaczający naszą rakietę wznosił się wyprzedzony przez, jakby uciekającą przed nim, granicę pola siłowego. Pierwotna kropla rosła w tunel wiodący od powierzchni planety ku granicy atmosfery dostosowując się do prędkości rakiety. Poczulem słony smak. Oblizalem wargi. Krew? Przecież przeciążenia były w normie. Widocznie musiałem zagryźć wargi.

Zerknąłem w prawo, nie gubiąc z pola widzenia ekranu: Fizyk gapił się osłupiały na wskazania swoich przyrządów. To, co się działo, przeczyło jego wiedzy, a być może przekraczało i jego wyobraźnię. Rzut oka w lewo: Komandor zapatrzony w iluminator, jakby w oczekiwaniu na osłepiający błysk eksplozji. Tymczasem rakietą wznosiła się bez przeszkód. Coraz prędzej i prędzej...

Półmrok poranka, który żegnał nas na powierzchni, ustąpił miejsca jasności, a ta po pewnym czasie znowu zmieniła się w mrok, ale już inny, atlasowy mrok Kosmosu. Przelatowaliśmy przez coraz rzadsze warstwy atmosfery. Wreszcie silniki ostatnim impulsem wprowadziły statek na orbitę i automatycznie wyłączyły się. Zajęty obserwowaniem ich pracy przeoczyłem chwilę, gdy zniknęło otaczające nas dotychczas pole siłowe. Byliśmy na orbicie wyższej o kilkadziesiąt kilometrów od zaplanowanej (zastanawiając się później nad tym doszedłem do wniosku, że był to dodatkowy efekt rozprężających się za nami w tunelu gazów). Ale przede wszystkim byliśmy wolni!

Żywiolowa radość, jaka zapanowała na statku, przeszła wszelkie wyobrażenia. Dorośli przecież i poważni ludzie, w większości z tytułami naukowymi, uchodzący za wybitnych specjalistów w swoich dziedzinach i mający za sobą duże doświadczenie w badaniu Kosmosu, zachowywali się niepoważnie: śmiali się, biegali po wszystkich pomieszczeniach, poklepywali napotkanych kolegów po ramionach. Tak

przejawiało się odprężenie po dniach spędzonych na planecie w ustawicznej niepewności. Prędzej czy później wszyscy trafiali do kabiny sterowniczej i gratulowali mi udanego startu, jak gdyby był on moją zasługą. Ponieważ natychmiast mieliśmy opuścić orbitę planety, swoje miejsce zajął Nawigator. Tymczasem Fizyk, który demontował swoją aparaturę i zbierał taśmy z wynikami obserwacji, odezwał się zniechęcony:

– Fakt, że pozwolono nam odlecieć, zmusza do rewizji dotychczasowych hipotez. Zresztą wszystkie one mają jeden podstawowy brak: są zbyt nieśmiałe w stosunku do tego, co nas spotkało. Są zbyt ziemskie, zbyt antropomorfizujące. Są to w gruncie rzeczy różne wersje naszych własnych, przewidywanych reakcji na wizytę z Kosmosu. Tymczasem taki sposób reagowania, z jakim się spotkaliśmy, może mieć bardziej podstawową przyczynę: odmienną materialną, fizykalną. Jest jeden możliwy przypadek, który tłumaczyłby zarówno absolutny charakter naszej izolacji, jak czas jej trwania ograniczony do kontaktu z materią układu planetarnego i niezrozumiałe reakcje mieszkańców planety... Odwiedzona przez nas planeta, a może i cały układ planetarny mogą być zbudowane z antymaterii.

Nielicznym słuchaczom w kabinie sterowniczej ciarki zamrowiły po plecach.

– Nie mogliśmy się przekonać o tym na odległość, ponieważ pozostając w stanie izolacji materia i antymateria są nieodróżnialne. A z chwilą, gdy kontakt stał się możliwy, na przykład przez spotkanie z meteorem czy wejście w górne warstwy atmosfery, znajdowaliśmy się już w ochronnym płaszczu wytworzonego przez nich pola siłowego. Mieszkańcy planety nie spotkali się z nami, bo nie mogli tego uczynić pod groźbą unicestwienia w procesie anihilacji nas, naszego statku i znacznego obszaru Ich planety. Tak więc reakcja, która zaskoczyła nas najbardziej, nie była wynikiem wyboru określonej strategii postępowania, jak sugerowali autorzy poprzednich hipotez, lecz tragiczną w swej wymowie koniecznością.

Hipoteza Fizyka, którą miałem możliwość poznać jako jeden z pierwszych, wywołała duży odzew wśród członków załogi. Kiedy

bowiem opadły emocje radości związanej z pomyslnym startem i statek, przybierając kurs powrotny, przyśpieszał do prędkości podróżnej, dyskusje ożyły ze zdwojoną siłą. Utworzyły się obozy zwolenników tej i innych hipotez. Trwały nie tylko dyskusje oficjalne, ale i bezustanne zakulisowe przetargi, mające na celu przecignięcie na swoją stronę największych autorytetów.

Wobec niewielkiej ilości konkretów i wobec faktu, że to, co się stało, nie bardzo mieściło się w dotychczasowych ziemskich wyobrażeniach o kontaktach z innymi cywilizacjami, dyskusje szybko jałowiały, coraz bardziej zwiększał się w nich udział pseudonaukowych, fantastycznych wymysłów. Nad interpretacją faktów zaczęła przeważać logika wyvodu, zalety samej konstrukcji intelektualnej. I z tego zaułka nie było już wyjścia.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia i gdy myślałem, że tak będzie przez długie miesiące lotu, aż do naszego powrotu do Bazy, a tam także nie zaznamy spokoju, ciągnani przed różne komisje dla złożenia zeznań...

Dlatego tu jestem. Wydaje mi się, że znam sposób rozstrzygnięcia tych sporów, a przynajmniej, że jest to jakaś szansa. Skończyłem właśnie programowanie nowego wariantu trasy lotu. Do jutrzejszego poranka istnieje jeszcze szansa zawrócenia statku z powrotem ku zagadkowej planecie. Zajęci dyskusjami naukowcy nie powinni zauważyć zmian w kierunku działania przeciążeń. Dla nich będzie to w dalszym ciągu rezultat wprowadzania statku na tor lotu powrotnego na Ziemię. Kiedy się spostrzegą...

Mimo że nie jestem specjalistą od programowania komputerów, mam nadzieję, że zabieg mi się udał i po kilku dniach lotu wejdziemy znowu na orbitę planety. Skoro jedna wizyta nie przyniosła rozstrzygnięcia, powinniśmy spróbować po raz drugi. Nie potrafię przewidzieć, co się stanie, czuję jednak, wierzę w to, że zamieszkująca tę planetę cywilizacja, jakakolwiek by ona była, skoro przyjęła nas, gdy chcieliśmy lądować, i nie przeszkodziła w odlocie, gdy chcieliśmy odlecieć, zasługuje na tyle zaufania z naszej strony, byśmy mogli ponownie zakłócić jej samotność.